ŻYWA TORPEDA

CYKL MORSKI

JULJAN GINSBERT

№ 117

CENA 30 GR.

BIBLJOTECZKA HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA

13 książeczek do wyboru za 3 zł.

Przesyłka bezpłatna — pieniądze przy zamówieniu
Obstalowujący mniej niż 13 książeczek, płacą po 30 gr
od sztuki i 20 gr. za przesyłkę.
Zaznaczone gwiazdką — odpowiednie dla młodzieży.

1. „Sfałszowany testament" *W. Bilan.*
2. „Soliman i Roksolana" *Melcer-Rutkowska.*
3. „Kaźń Mikołaja II" *J. Łużyc.*
4. „Żywot Nerona" *J. Ejsmond.*
5. „Timurlenk" *J. Bandrowski.*
*6. „Mord Cezara i śmierć Kleopatry" *Prof. dr. Górka*
7. „Żelazna dziewica" *Melcer-Rutkowska.*
*8. „Naszyjnik Królowej" *Sierosławski.*
*9. „Bohaterowie Krzyża" *prof. dr. O. Górka.*
10. „Kurtyzany Rzymu" *dr. Skarbek Tłuchowski.*
11. „Kawaler Łauzun" *dr. Zajączkowski.*
12. „Tysiąc dziwów prawdziwych" *J. Tuwim*
13. „Gwiazdy filmowe" *L. Brun.*
14. „Lady Hamilton i lord Nelson" *Melcer-Rutkowska*
15. „Tajemnica pochodzenia Franciszka Józefa" *Nowicki*
16 „Tajemnice amuletów i talizmanów" *J. Tuwim.*
*17. „Korsarze 1914 r." *St. Wojtkiewicz.*
*18. „Biały burnus i czarne oczy" *Piotr Lot.*
19. „Kapitan Scott" *prof. dr. St. Nowakowski.*
*20. „J. Kr. Mość Sisowath" *K. Sieroszewski.*
21. „Piękna Doboszarka" *St. Cieszkowski.*
*22. „Ciupasem na Syberję" *W. Sieroszewski.*
23. „Tzeu-Hi władczyni bokserów" *M. Kuncewiczowa*
*24. „Z tronu na szafot" *L. Choromański.*
25. „Proces Bispinga" *Adwokat Okręt.*
*26. „Zabobony myśliwskie" *J. Ejsmond.*
27. „Mata-Hari, tancerka-szpieg" *M-e J. Briares.*
*28. „Wyprawa na Ewerest" *Inż. Libański.*
29. „Tragiczna miłość Oświęcimów" *W. Rutkowska.*
30. „Dandolo. Joanna D'Arc" *prof. dr. Górka.*
31. „Proces Capelle-Lafarge" *Marja Szpyrkówna.*
32. „Jak zabiłem Rasputina" *Purvszkiewicz.*
*33. „Grób na Falklandach" *St. Wojtkiewicz.*
34. „Kochanka Franciszka Józefa" *A. Nowicki.*
35-36. „Warszawa w ogniu!" *Wojtkiewicz, Rutkowska.*
37. „Skanderbeg, lew Albanji" *J. Bandrowski.*
*38. „Poułkownik Miasojedow" *Breszko-Breszkowski.*
39. „Za kręgiem polarnym" *W. Sieroszewski.*
40. „Dwaj Zbrodniarze" *Dr. Hofmokl-Ostrowski.*
41. „Zdobywanie Syberji" *Prof. Dr St. Nowakowski*
*42. „John Big Foot" *Watra-Przewłocki.*
*43. „Powstanie gruzińskie 1924 r." *Breszko-Breszkowski.*
44-45. „Czarny Czarownik" *F. A Ossendowski.*
*46. „Zemsta lorda Fischera" *St. Strumph-Wojtkiewicz.*
47. „Sara Bernard" *Skarbek.*
48. „35.000 klm. przez lądy i morza" *Por. Lepeckt.*
49. „Tragedja w Meverlinku" *A. Nowicki.*
50. „Z tajników carskiej policji" *Koszko, b. szef p. śl. Rosji.*

Dalszy ciąg patrz str. 3-cia okładki.

OPŁATA POCZTOWA RYCZAŁTEM

Nr. 117 BIBLJOTECZKA Nr. 117
HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA

Cykl morski.

JULJAN GINSBERT

ŻYWA TORPEDA

Nie kłamać — bawiąc.

Nie nudzić — ucząc.

T-wo Wyd. „Rój" s. z o. Spó
Warszawa, Kredytowa 1. P. K. O. 5660.

ŹRÓDŁA:

Hawcett i Cooper: La bataille de Jutland par les combattants.

Graf: La marine russe pendant la guerre.

Witting: Auf See unbesiegt.

Thomazi: La guerre navale dans l'Adriatique.

MUZEUM MORSKIE BIBLIOTEKA

001871

ŻYWA TORPEDA.

Podczas ostatniej wojny uczeni różnych krajów oddali się na usługi wiedzy wojskowej. Zaroiło się od mniej lub więcej szczęśliwych wynalazków. Niektóre z nich, bardzo śmiałe w pomysłach, zostały dopiero wykończone w latach ostatnich. Niektóre do dziś dnia są osłonięte tajemnicą. Niedawno w Niemczech dokonano prób z samoczynnym okrętem „Zähringen", który bez załogi, kierowany przy pomocy fal radjowych, jest w stanie pełnić wszelkie funkcje normalnego okrętu wojennego.

Wynalazek ten zresztą nie jest nowym. Już podczas „Zakorkowania Zeebrügge"*) w r. 1918 Anglicy posiadali przyrządy samokierujące. Łódź podwodna „C. 3", mająca za zadanie wysadzić w powietrze wiadukt w Zeebrügge, była w

*) Patrz tomik 107 p. t. „Zakorkowanie Zeebrügge".

taki przyrząd wyposażona. Jej bohaterska załoga jednak, nie ufając zbytnio wynalazkowi, wolała własnoręcznie doprowadzić łódź na miejsce wybuchu, czego zresztą omal nie przypłaciła życiem.

Szereg podobnych wynalazków z dziedziny morskiej istniał i w innych państwach. Szczególną działalność przejawiali w tym względzie inżynierowie italscy, którym niemożność zaatakowania zamkniętej w bezpiecznych portach floty Austro-Węgier, dodawała bodźca do pracy. W laboratorjach i arsenałach Wenecji, Tarentu, Spezji i t. d. pracowano niezmordowanie nad wynalezieniem przyrządu morskiego zdolnego do sforsowania systemu obronnego austrjackich portów.

Zpoczątku chciano stary pancernik „Re Umberto" zamienić na katapultę, pod naporem której miała pęknąć przegroda zamykająca wejście do portu Pola. Potem nurkowiec „Galileo Ferraris" miał być przystosowany do przejścia pod systemem zaporowym Austrjaków. Oba te projekty odrzucono jednak, jako zbyt naiwne. Wejście do Pola zamknięte było kilkoma rzędami min, łańcuchów, belek, sieci ochronnych i t. p. przegród. Przedostanie się tam dla statku zwykłego, było bez zgody

Austrjaków niemożliwością. Od czasu, kiedy francuska łódź podwodna „Curie" **) zatonęła w kanale portowym, żaden statek nie odważył się pokusić o sforsowanie tego śmiertelnego przejścia.

W nocy z 13 na 14 maja 1918, wartownik stojący na cyplu długiego portowego mola w Poli, usłyszał od strony ruchomej przegrody dziwny szmer. Noc była pogodna choć bezksiężycowa, fala niewielka, a wiatr słaby. To też szmer słychać było coraz wyraźniej.

Zaintrygowany Austrjak, nie mogąc opuścić stanowiska, przywołał jedną z motorówek strażniczych, polecając jej zbadanie tego co się w systemie zaporowym dzieje. Motorówka popłynęła we wskazanym kierunku.

— *Melde gehorsamst, Herr Fregattenleutnant,* — łódź jakaś tkwi u zewnętrznej zapory.

**) Patrz tomik 102 p. t. „Łódź podwodna" pióra komandora Sadowskiego.

— Rzeczywiście, — odpowiada porucznik. — Ale za małe toto na nurkowiec, a za duże na szalupę. Może jakaś pinassa urwała się makaronom podczas ostatniej burzy i aż tu ją przyniosło.

— Nie zdaje mi się, — mówi stary bosman, chłop naschwał, rodem z Jasła. — Wszak tłukłoby o zaporę, a ta bestja tkwi sztywno, jak lalka.

— Może utkwiła nosem w belkach. Trzeba się przekonać. Weź kurs na przejście C.

W tej chwili okrzyk trwogi i zdziwienia wyrywa się z ust załogi. Tajemnicza łódź unosi się i wspina dziobem do góry, jakby jakaś czarodziejska siła wypchnęła ją z wody.

W mrokach nocy widać jej ciemną fantastyczną sylwetkę, odrzynającą się wyraźnie na tle granatowego nieba. Jest coraz wyżej. Pnie się wytrwale ku górze. Jedynie rufa opiera się w wodzie, podczas gdy cały kadłub sterczy wysoko w powietrzu.

— Czary, czy co? — mruczy bosman, żegnając się zapamiętale.

A tymczasem tajemnicza łódź całkowicie wyłania się z wody i z chrzęstem wspina na zaporę. Mija minuta osłupienia. Trzask łamanych belek, kilka zgrzytów, plusk, i widziadło, przebywając pierwszą linję przegród, kołysze się na wodzie po jej wewnętrznej stronie.

— *Herr Je!* — woła po chwili jeden z majtków. — Wyłazi na przegrodę Nr. 2.

Rzeczywiście łódź, jak konik polny, przeskakuje zapory jedną po drugiej. Jeszcze chwila i będzie w porcie.

Ale porucznik ochłonął już ze zdziwienia. Przez szkła nocne widzi dokładnie, co się święci. — Reflektor! — woła, — i ognia, czem prędzej!

Smuga białego światła muska poczwórną linję przegród. Na trzeciej z nich zatrzymuje się i ukazuje oczom marynarzy dziwnego potworka. Jest to kadłub zwykłej motorówki, zaopatrzony z obu boków w gąsienice czołga. Nic dziwnego, że bestja i pływa i przebywa przeszkody.

Właśnie pnie się na czwartą zaporę. Widać wyraźnie, jak gąsienice pracują, unosząc łódź ku górze. Karabin maszyno-

wy motorówki poczyna klekotać. Czy nie za późno? Czołg wodny jest już po drugiej stronie zapory.

Ale alarm jest dany. Ze wszystkich stron portu nadbiegają motorówki, torpedowce, okręty strażnicze. Reflektory krzyżują swe białe pasma, czyniąc z nocy jasny dzień. Armaty i karabiny maszynowe grają, ile wlezie.

Komendant czołgu wodnego, bohaterski kapitan Pelligrini, widzi, że nie ujdzie. Jego „Grillo" zanurza się wprawdzie znów w wodzie, ale kule i pociski armatnie sypią się zewsząd. Najważniejszy czynnik powodzenia — zaskoczenie, stracony bezpowrotnie. O wysadzeniu w powietrze okrętów austrjackich nie może być mowy. Trzeba tylko czuwać, aby „Grillo" nie dostał się do rąk wroga.

Pelligrini otwiera przyrząd zatapiający, poczem sam nastawia mechanizm zegarowy bomb. „Grillo" tonie i wybucha pod wodą. Tajemnicę swej konstrukcji zabiera z sobą w państwo Neptuna i Amfitryty.

Kapitana Pelligrini i jego trzech towarzyszy wyławia z wody austrjacka szalupa i przewozi na pokład pancernika „Vi-

ribus Unitis". Mimo odniesionego sukcesu, konsternacja jest olbrzymia. Austrjacy obawiają się ponowienia podobnych usiłowań. I słusznie.

Przez wzmocnione olbrzymiemi belkami, sztachetami, drutem i ostremi kolcami przegrody, żaden czołg teraz nie przejdzie. Wiedzą o tem dobrze Italczycy. I dlatego pomysłowość ich idzie w innym kierunku.

Inżynier marynarki Rosetti buduje nowy przyrząd niszczycielski. Jest to długie, do torpedy podobne stalowe cygaro, poruszane przy pomocy zgęszczonego powietrza i tak ciężkie, że zaledwie unosi się na wodzie. Prócz motoru i rezerwuaru z powietrzem, zawiera dwie o kolosalnej sile maszyny piekielne, mogące bądź wybuchać od uderzenia, bądź być regulowane zegarowo. Posiada także szereg uchwytów wzdłuż swego kadłuba.

Pocóż te uchwyty? — Otóż poprostu Rosetti uważa, że powinien sam kierować swą torpedą w wodzie. Wystrzelona z odległości może chybić celu. I dzielny inży-

nier przywdziewa gumowe, nadęte powietrzem ubranie, poczem wraz z torpedą skacze do wody.

Próba udaje się wyśmienicie. Ale Rosetti sam, może nie wystarczyć do obsługi przyrządu. A nuż chwyci go w wodzie kurcz lub omdlenie? A nuż opuszczą go siły? Poszukuje tedy towarzysza.

Ten zjawia się w osobie młodego lekarza marynarki nazwiskiem Paolucci. Obaj młodzi ludzie udoskonalają przyrząd, nazywają go „Mignatta" i szykują się do niebezpiecznego przedsięwzięcia.

31 października 1918, „Mignatta" zostaje na pokładzie italskiego torpedowca przewieziona wpobliże Poli. Poczem elektryczna motorówka holuje ją na odległość 1000 metrów od mola portowego. O godz. 22 Rosetti i Paolucci w swych gumowych strojach skaczą do wody i uczepieni do „Mignatty" powoli płyną ku brzegowi.

Z pokładu torpedowca i motorówki załogi spoglądają za nimi z niepokojem. Czy aby się uda? Czy aby ocaleją? Tyle niebezpieczeństw grozi bohaterom: miny, sieci, straże, kolce, zapory, działa, karabiny, woda, powietrze. Trzeba być niela-

da śmiałkiem, by ważyć się na takie przedsięwzięcie.

Ale wiatr unosi srebrne bańki, powstałe na wodzie na skutek wydechu zgęszczonego powietrza, a noc zaciera rychło jasny szlak Żywej torpedy.

Tym razem idzie lepiej. O godz. 22.20 „Mignatta" podpływa do pierwszej zapory. Obaj oficerowie przełażą wierzchem, poczem dzięki specjalnemu przyrządowi przeciągają torpedę pod zaporą. Motor „Mignatty" działa sprawnie i bez najmniejszego szmeru. ,

Ale teraz zaczynają się trudności. Za pierwszą zaporą znajduje się pięć następnych, upstrzonych hiszpańskiemi kozłami, stalowemi pikietami, drutem. Wspinać się na nie jest niemal niepodobieństwem. Oficerowie radzą sobie, jak mogą, to wynajdując łatwiejsze przejścia, to nurkując wraz z „Mignattą". Pod gumowemi płaszczami pot obficie zlewa im ciało.

Nadomiar złego wiatr poczyna wiać od lądu, a prąd znosi ich zpowrotem. Oszczędzając skąpego zapasu zgęszczone-

go powietrza, płyną o własnych siłach, walcząc wytrwale. Cal po calu zdobywają przestrzeń. Cztery i pół godziny trwa to borykanie się z przeszkodami. Siły opuszczają śmiałków. Nawet zawodowy pływak miałby już dosyć. A tu trzeba jeszcze uważać na „Mignattę", aby się bestja nie wymknęła i nie poszła na dno. Wszak, by ją móc przeciągać pod zaporami, dano jej naumyślnie tak małą pływalność.

Godzina 3 rano. Nareszcie. Wszystkie zapory przebyte. Zaczyna padać deszcz. Z jednej strony to dobrze, bo ukryje on śmiałków przed oczyma straży. Z drugiej źle, bo utrudni orjentację. Jak tu szukać austrjackich drednotów w tak rozległym porcie?

Jeszcze blisko dwie godziny mozolnych poszukiwań i przebywania w wodzie. O 4.50 Rosetti i Paolucci poznają wreszcie majestatyczną sylwetę admiralskiego pancernika „Viribus Unitis". Rosetti odczepia jedną z bomb i podpływa do okrętu, podczas gdy Paolucci oczekuje opodal z „Mignattą". Inżynier własnoręcznie zakłada bombę u dolnej części kadłuba, nastawia mechanizm zegarowy i oddala się.

Ale jeden z wachtowych usłyszał szmer. Alarm! Bieganina! Znów smugi światła reflektorów. Motorówka strażnicza podpływa do miejsca, gdzie żywa torpeda z trudem utrzymuje się na wodzie. Nie chcąc zdradzić tajemnicy swego wynalazku, Rosetti skierowuje „Mignattę" ku stojącemu opodal krążownikowi pomocniczemu „Wien".

Kilka srebrnych baniek na wodzie, głuche uderzenie, fontanna wody i huk potężny. „Wien" tonie, przecięty napół. Motorówka wyławia z wody obu bohaterów i zawozi na pokład „Viribusa". Powiadają się lotnikami z wodopłatowca, mającego za zadanie bombardowanie portu i opadłego na skutek wypadku.

Ale czeka ich gorzkie rozczarowanie. Od poprzedniego ranka flota Austro-Węgier już nie istnieje. W nocy z 30 na 31 października Jugosłowiański Komitet Narodowy objął w posiadanie port i okręty. Stara Austrja, Austrja romantycznych Habsburgów, straussowskch walców, metternichowskich intryg — skończyła się bezpowrotnie. Sztuczny zlepek ludów rozpadł się. Admirał Horthy podał się do dymisji i złożył swe życzenia Jugosło-

wiańskiemu Komitetowi. Bandera Jugosławji powiewa na rufie okrętów.

Rosetti i Paolucci nie posiadają się ze złości. Cały ich bohaterski wysiłek na nic. Że ich też nie uprzedzono. Wszak radjostacja w Pola rozesłała po całym świecie wiadomość o dokonanym przewrocie.

Przyjęci gościnnie i troskliwie, obaj oficerowie powoli odzyskują siły. Ale blachy stalowego pancernika parzą im stopy. Wszak pod nogami tkwi założona przez Rosettiego bomba. Wydaje im się, że słyszą cykanie jej zegarowego mechanizmu. A nuż wybuch nastąpi przedwcześnie?

— Która godzina? — pyta Rosetti.

— Wpół do szóstej, — odpowiada jeden z oficerów pancernika.

Niema chwili do stracenia. Mechanizm nastawiony jest na szóstą. Rosetti udaje się do komendanta i wyznaje mu całą prawdę. Sam jest zbyt wyczerpany, by nurkować w celu odczepienia bomby. Paolucci również goni resztkami sił, a może nie odnalazłby miejsca. Poszukiwania przez załogę nie mają sensu. Każda minuta jest droga. Wybuch może nastąpić lada chwila.

Załoga z żalem opuszcza piękny pancernik, chlubę dawnej monarchji. A pun-

MUZEUM MORSKIE BIBLIOTEKA GDAŃSKU

ktualnie o szóstej potężny huk wstrząsa murami Poli. „Viribus Unitis" kładzie się na bok i tonie w ciągu 10 minut. Obu Włochów odprowadzają na pokład pancernika „Habsburg", gdzie pozostają do zawieszenia broni. Poczem zdrowi i cali wracają do ojczyzny.

Italja może z nich być słusznie dumna.

HEKATOMBA TORPEDOWCÓW.

Podczas ostatniej wojny marynarka rosyjska tak na Bałtyku, jak i na Morzu Czarnem, nie odegrała poważniejszej roli. Złożył się na to szereg okoliczności, których nie będziemy tu roztrząsali.

Nieliczne powodzenie zawdzięczała marynarka rosyjska szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Były to głównie sukcesy pasywne: zniszczenie wyrzuconego na skałę i uruchomionego krążownika „Magdeburg", zmuszenie słabo uzbrojonego stawiacza min „Albatros" do wyrzucenia się na brzeg Gotlandu, po kilkogodzinnej walce z całą eskadrą rosyjskich krążowników, wreszcie zatonięcie na minach rosyjskich całego szeregu niemieckich okrętów wojennych.

Twierdzenie niektórych pisarzy morskich, że wobec przewagi Niemiec, flota rosyjska skazana była zgóry na rolę defensywną, nie wytrzymuje krytyki. Niem-

cy większość swych sił trzymali na Morzu Północnem, a na Bałtyku znajdowały się jedynie stare pancerniki i krążowniki, nie posiadające większej wartości bojowej. Wprawdzie Kanał Kiloński łączył oba morza, ale trzeba było co najmniej doby dla przerzucenia choć części sił z jednego na drugie. To też w rękach energicznego wodza, flota rosyjska mogła dać Niemcom niejeden ciężki orzech do zgryzienia.

Trzeba jednak oddać marynarce rosyjskiej tę sprawiedliwość, że zakładanie min stało w niej na dość wysokim poziomie i tem się też tłumaczy obfitość strat niemieckich.

Noc z 9 na 10 listopada 1916. Mroźna, pogodna, choć dość ciemna. Księżyc co chwila skrywa się za galopującemi czarnemi chmurami. Morze dość spokojne i czyste. Ktoby to odważył zapuszczać się w naszpikowane minami wody Zatoki Finlandzkiej?

A jednak z mroków nocy wypływa długi korowód cieni. Pomykają szybko na wschód, a są tak ciemne i nikłe, że jedynie oko wytrawnego marynarza dostrzec je może.

Ale oto i księżyc. W świetle jego wi-

dzimy jedenaście czarnych sylwetek, rysujących się słabo na tle granatowego nieba. Ani iskry, ani światełka. Rzekłbyś, nie okręty, a widma. I jedynie podwójny biały grzebień wodny biegnący od dzioba każdej sylwetki, wskazuje, że okręty te żywe, że płyną szybko i sprawnie, mając spełnić jakieś tajemnicze zadanie.

Te jedenaście cieni, to X-ta niemiecka flotylla torpedowa. Otrzymała rozkaz raidu na porty i okręty rosyjskie .Prowadzona przez torpedowiec „S. 56", pomyka w szyku torowym z szybkością 21 węzłów. Zaiste, trzeba być wybornym marynarzem, by w tych warunkach kierować okrętem, 300 metrów dzieli jeden torpedowiec od drugiego. Linja ma trzy kilometry długości. O zgubienie się nietrudno, o zderzenie z przednim lub tylnym matelotem jeszcze łatwiej. Na mostku „S. 56" — Komandor Witting, szef flotylli, czujnem okiem mierzy ciemność. Ale nawet przy użyciu szkieł, wzrok nie sięga poza trzeci torpedowiec.

Godzina 20 minut 38. Kilka krótkich błysków. Ztyłu sygnalizują Morsem, że brak trzech końcowych statków. „S. 56" zawraca, ale nie może ich odnaleźć.

Szkoda czasu. Pozostałe 8 torpedowców płynie dalej na wschód.

Godzina 22. Horyzont nieco ciemniejszy od sterbortu. To wyspa Odensholm Cel już blisko. Ostatnie dyspozycje bojowe wydane.

W tejże chwili przynoszą Wittingowi szyfrowaną radjodepeszę. W słabym blasku lampy kompasowej komandor czyta:

— „V. 75" i „S. 57" zniszczone przez miny. „G. 89" z załogami zatopionych statków płynie na zachód z szybkością 30 węzłów.

Donnerwetter. Źle się zaczyna. Ale trudno, za późno się cofać. Byle prędzej spełnić zadanie. A tu jak na złość nie widać ani jednego nieprzyjacielskiego okrętu Wszystkie snać drzemią bezpiecznie w portach. Trzeba ich będzie tam szukać.

Witting daje rozkaz skręcenia ku zatoce Rooger, u końca której leży Port Bałtycki. 5 torpedowców pozostaje u wylotu. Trzy (czołowy S. 56, S. 59 i G. 90) wpływają do wnętrza portu. By ominąć pole minowe, przesuwają się ostrożnie wzdłuż brzegu. Wreszcie ciemna sylweta mola rysuje się przed niemi o odległości 600 metrów.

Rozczarowanie. Ani jednego okrętu rosyjskiego w porcie. Snać uważają że to jeszcze niedość bezpieczna kryjówka. Ale Niemcy muszą przecież pokazać, że coś zdziałali, że nie stracili napróżno dwóch statków. Ich jutrzejszy komunikat musi być pełen heroicznych czynów. Więc hulaj - dusza! — *Feuer!* — komenderuje Witting. — *Feuer!* — powtarza dowódca „S 56" kapitan Krech. — *Feuer!* brzmią rozkazy kapitanów Herringa (G. 90) i Kleina (S. 59).

Godzina 1.30. Sześć reflektorów czyni nagle z nocy biały dzień i wnet grad pocisków sypie się na śpiące, bezbronne miasto. Smugi światła krzyżują się na niebie. Błyski strzałów wytryskują na ciemnem tle nocy. Łuny pożarów wybuchają nad miastem Mieszkańcy w popłochu wybiegają z walących się domów.

Niemcy celują „jak zawsze" tylko w wojskowe objekty. Jak w ciemnościach nocnych, nawet przy świetle reflektorów, można odróżnić koszary od szpitala i arsenał od śpichlerza, pozostaje ich tajemnicą. Że tam przytem oberwie kilku cywilów, — trudno. „*Krieg ist Krieg*" mawiał stary Moltke. Przecież komunikat niemiecki potrafił nawet bezbronne kąpieliska angiel-

skie zamienić w zbombardowane groźne twierdze.

10 minut, 162 granaty. Potem zwrot i z szybkością 26 węzłów na zachód. Port Bałtycki płonie, zarzewie pożaru odbija się w morzu.

Ale co to? Na wybrzeżu błyska się raz po raz i dobrze znany świst przeszywa powietrze. Snać jakaś polowa baterja rosyjska otwarła ogień. Naprzód całą szybkością! Trzeba jak najprędzej wyjść z niebezpiecznej strefy.

Bum! Głuche podwodne uderzenie. Niebotyczna fontanna. „G. 90" podrywa się i ciężko opada na bok. Mina wybuchła tuż pod przedziałem turbin.

„S. 59" mimo niebezpieczeństwa podchodzi i ratuje załogę. Ledwo ostatni marynarz przechodzi na zbawczy torpedowiec, „G. 90" kładzie się na boku i tonie.

Wszystko razem trwa zaledwie 10 minut. Ale oto w ciemnościach znów coś migocze. Dwa długie błyski raz po raz. MM, MM, MM. — Miny, miny! — sygnalizuje jeden z torpedowców.

Tym razem to kolei „V 72". Jego dowódca, kapitan baron Roeder, z podziwu godną zimną krwią kieruje ewakuacją uratowanych. „V. 72" zanurza się powoli.

Pozostałych sześć torpedowców płynie dalej gzygzakiem. Wiatr wzmaga się, fala rośnie. Ciemności stają się nieprzeniknione. Wkoło miny, miny, miny. Istny kocioł djabelski.

I znów — MM, MM, MM! Tragiczne światełka migają tu i owdzie jakby sam szatan je zapalał. Tonie „S. 58", a „S. 59" ratuje załogę. Ale idzie im niesporo. Niepodobna przystanąć, bo wokół zranionego torpedowca pływają liczne miny. Widać je gołem okiem między grzbietami fal.

Mija długa jak wiek godzina. Wreszcie ratunek ukończony. Ale „S. 59" nie upłynął jeszcze pół mili, kiedy i jego spotyka los podobny. Tym razem sam dowódca flotylli zdąża z pomocą. „S. 56" przybija do burty szybko tonącego „S. 59" i ratuje obie załogi.

Dotychczas wszystko dzieje się w porządku, jak na mustrze. Przenosi się wpierw rannych, potem papiery okrętowe, potem przechodzi reszta załogi, a wkońcu dowódca. Ale powoli nawet w karne szeregi Niemców poczyna wkradać się niepokój. Czyż ta piekielna noc nigdy się nie skończy?

Z szybkością 27 węzłów pozostałe cztery torpedowce pomykają na zachód. Byle prędzej, byle dalej od tych wód straszliwych. Bladawe pasemko ukazuje się na wschodniej stronie nieba. Nareszcie świta. Przejmujący chłód dokucza nieznośnie przemęczonym i stłoczonym załogom. Wszak „S. 56" ma ich aż trzy na pokładzie.

Wtem znów głuche uderzenie i wyprysk wodny. „V. 76", ostatni z szyku, ma za swoje. Przełamuje się na trzy części i tonie rufą wprzód. „V. 11" ratuje rozbitków.

Ale to nie koniec. Na „S. 56", snać na skutek wtrząśnień, pęka kolektor wodny. Cała woda ucieka z kotłów. Torpedowiec staje bezwładny. „V. 77" i „V. 78" ratują go jak mogą. Gdyby Moskale nadpłynęli, mieliby łatwe zadanie. Jeden uszkodzony i dwa przemęczone torpedowce, z których każdy ma po trzy załogi. W ścisku nie możnaby nawet zwrócić armat.

Nieprzyjaciela jednak nie widać. Nie wyzyskał tej jedynej w swoim rodzaju okazji. Nie pokusił się o odcięcie odwrotu torpedowcom. A wszak od chwili bom-

bardowania Portu Bałtyckiego upłynęło już pełne 7 godzin.

Wreszcie uszkodzenie jest naprawione. Na horyzoncie ukazują się wysłane z pomocą krążowniki i torpedowce niemieckie. Z krążownika „Kolberg" admirał von Langemark wzywa komandora Wittinga do siebie.

Siedem torpedowców znalazło grób w szarych falach Finlandzkiej Zatoki. Dzięki doskonałej organizacji i dyscyplinie, zginęło jedynie 16 marynarzy, po większej części zabitych wybuchem. Przeszło 100 było rannych. Noc ta drogo kosztowała Niemców, a mogłaby kosztować jeszcze więcej, gdyby w marynarce rosyjskiej istniał duch szybkiej orjentacji i inicjatywy.

Niemcy porażkę swą pokryli jak zwykle humbugiem. Komunikat głosił o zniszczeniu instalacyj wojskowych, fortów i bateryj w Porcie Bałtyckim. W rzeczywistości pociski niemieckie zabiły dwóch żołnierzy, dwie kobiety i czworo dzieci. Siedmiu mieszkańców cywilnych było ciężko rannych. Poza tem w jednej ze stajni spaliło się 12 koni. Port Bałtycki żadnych fortyfikacyj nie posiadał. Podczas wojny zainstalowano tam naprędce, kilka stanowisk dla dział polowych. Baterje te pozo-

stały nietknięte. Spaliło się jedynie kilka budynków i dwa magazyny portowe. Jak na stratę siedmiu nowoczesnych torpedowców, — odszkodowanie, zaiste, niewielkie.

DUCH NA PELAGOZA.

Na samym środku Adrjatyku, mniej więcej w jednakowej odległości od brzegów Włoch i Dalmacji, leży mała wysepka Pelegoza. Jest to długa na 1300 i szeroka na 400 metrów stroma skała, na szczycie której znajduje się latarnia morska. Z latarni tej, położonej o 105 metrów nad poziomem morza, wzrok sięga na północ aż do Lissy, na południe aż do Gargano. Jako punkt obserwacyjny i sygnalizacyjny wysepka ma więc pierwszorzędne znaczenie.

To też w początkach wojny krążownik francuski „Ernest Renan", wysadził tam desant. Zniszczono urządzenia sygnalizacyjne i zabrano austrjackie dokumenty. Ale utrzymanie stałego posterunku wymagałoby obecności większych sił morskich, a na to marynarka francuska, mająca swą najbliższą podstawę operacyjną aż na Malcie, pozwolić sobie nie może. To

też desant powraca na pokład krążownika.

W roku następnym po przystąpieniu Italji położenie zmienia się zasadniczo i dowództwo floty włoskiej postanawia okupować wysepkę.

11 lipca 1915 roku ekspedycja zawija do celu. Torpedowce italskie trałują wzdłuż brzegu w obawie min. Krążownik „Quarto" i kilka kontrtorpedowców i łodzi podwodnych strażują wokoło. Krążownik „Citta di Palermo" wysadza na ląd setkę marynarzy, którzy nie natrafiają na opór. Garnizon Pelagozy składa się aż z 10 ludzi, którzy na widok Włochów, kryją się do jednej z licznych grot. Patrole italskie znajdują ich tam i biorą do niewoli.

Włosi biorą się wnet do dzieła. W dwóch punktach, gdzie możliwe jest wylądowanie, robią okopy, zakładają druty i fugasy. Na szczycie umieszczają dalekonośną baterję. W zatoce Sadlo zakładają boję, przy której ma strażować stale łódź podwodna.

13 lipca Austrjacy dają znać o sobie. Samolot rzuca kilka bomb na stanowiska Włochów, poczem kontrtorpedowiec „Tatra" bombarduje wysepkę zoddali. Nurkowiec francuski „Fresnel" zmusza go do odwrotu.

W nocy udaje się Włochom przychwycić sygnały świetlne wymieniane między przylądkiem Gargano i Wyspami Dalmackiemi. Nie ulega wątpliwości, że na terytorjum Italji znajduje się moc austrjackich szpiegów. Obława w okolicach Viesti daje nieoczekiwane rezultaty.

A tymczasem po kilku atakach samolotowych, 28 lipca o świcie eskadra austrjacka, złożona z krążowników „Helgoland" i „Saida" z 6 kontrtorpedowców, kilku torpedowców i łodzi podwodnych ukazuje się wpobliżu Pelagozy. Działa poczynają grzmieć, a w chwilę pozniej od torpedowców odbija kilka łodzi, zmierzając ku wyspie.

I tu zaczyna się boharska historja kadeta austrjackiej marynarki, Polaka Kossowskiego.

— Kadett Kossowski!

Po błyszczącej schodni Kossowski wbiega na mostek i pręży się służbiście. Wzrok jego błądzi po opalowo-błękitnej tafli morza. Wdali rysują się szare kontury jakiegoś lądu.

Komendant dyktuje mu rozkaz dzienny. Oddział desantowy torpedowca „51" bierze udział w ekspedycji. Tych dwuna-

stu ludzi poprowadzi właśnie kadet Kòssowski.

Godzina artyleryjskiego pojedynku i stu kilkudziesięciu austrjackich marynarzy ląduje na Pelagoza. Włosi strzelają do nich gęsto, ale bez skutku, strome skały zasłaniają bowiem atakujących, a ogień dział okrętowych zmusza obrońców do pozostania w okopach.

Tu i owdzie wybuchają włoskie fugasy. Ale zdenerwowani Italczycy zapalają je snać przedwcześnie, bo nie czynią żadnej szkody. Desant jest już w połowie wzgórza.

Nagle rozlegają się przeraźliwe dźwięki trąbki. Kossowski odwraca się i widzi na flaglinach okrętów zwój kolorowych chorągiewek: Sygnał do odwrotu!

To francuska łódź podwodna „Ampère" nie waha się zaatakować przeciwnika. Torpeda jej chybia wprawdzie „Balaton" ale zaniepokojeni Austrjacy postanawiają zawrócić. Czynią mądrze, bo w godzinę później lekkie siły italskie z Brindisi są już na miejscu.

5 sierpnia włoska łódź podwodna „Nereide" zostaje zaatakowana pod samym brzegiem wyspy, w zatoce Sadlo, przez

austrjacką „U. 5". Garnizon Pelagozy widzi jak na dłoni walkę torpedową między dwoma nurkowcami i nie może swoim przyjść z pomocą. „Nereide" tonie wraz z całą załogą.

17 sierpnia w sam „Kaisers - Geburtstag" (urodziny cesarza), dywizja Sebenicka znów zjawia się u wyspy. O wschodzie słońca okręty wywieszają małą galę i rozpoczynają ogień. Tym razem zabawa idzie na dobre. „Helgoland" i torpedowce grzmią ile wlezie. Włosi odpowiadają słabo. Wkońcu działa ich milkną zupełnie. Szaroczarny dym ukazuje się nad wyspą. Coś niezawodnie płonie. „Helgoland" sygalizuje:

— „Rokaz dla T. 51: Wysłać na ląd oficera i 4 ludzi dla przepatrolowania wyspy".

Szef dywizji sądzi, że Włosi mają dosyć. Może zechcą się poddać. Trzeba więc zbliska zbadać sytuację.

— Kadett Kossowski!

Kossowski posłusznie siada do łodzi i po pół godzinie ląduje na wyspie. Głucha cisza. Patrol powoli pnie się pod górę. Żywej duszy. Czyżby Włosi zapadli pod ziemię?

Tratatata — tratata — Tratatata! Sal-

wa z karabinu maszynowego przelatuje tuż nad głowami śmiałków. — Chodu! — krzyczy Kossowski. Wyraz czysto polski, ale w tym wypadku zrozumiały dla wszystkich. Marynarze biegną pierwsi. Kadet, jak przystało na dowódcę, stanowi straż tylną. Kule świszczą teraz bez przerwy. Ich złowrogie bzykania i uderzenia o skałę napełniają powietrze.

Buum! Huk straszliwy i płomień, potem chmura czarnego pyłu i grad kamieni. Fugas wybucha. Kossowski chwieje się, chwilę toczy po skale, wreszcie pada bez przytomności. Marynarze jak oszaleli pędzą do łodzi. Tam zastanawiają się chwilę, czy nie wrócić po swego dowódcę, ale nowa salwa zmusza ich do odwrotu. Pod gradem kul wiosłują ku flotylli.

Tymczasem od południowego - zachodu niebo poczyna przyoblekać się w czarną chmurę dymu. To „Quarto", „Bristol" i VI-a francuska eskadrylla. Okręty austrjackie szybko zawracają ku Sebenice.

Jest już noc późna, kiedy Kossowski przychodzi do siebie. W głowie czuje szum nieznośny. Kości go bolą okrutnie. Ale zmacawczy się, stwierdza z radością, że ni-

czego mu nie brak. Powoli wraca świadomość przeżytego momentu.

Od strony włoskiego obozu dochodzi go straszliwy harmider. Krzyki komendy, skrzyp wózków, przekleństwa, szczęk broni, liczne kroki...

— Cóż u licha te makarony wyprawiają? Chyba nie rajskie wesele.

Nad ranem wszystko się uspokaja i cisza zalega tak głęboka, jakby wszystko na wyspie wymarło. Mimo palących promieni słońca kadet tkwi nieruchomo w załomie skalnym, obserwując okolicę. Jak okiem sięgnąć, morze jest puste.

Na szczęście ma przy sobie żelazną porcję i manierkę z rumem. Zaspokaja więc głód, ale pragnienie dokucza mu strasznie. Postanawia wieczorem dokonać wywiadu.

Równo z zapadnięciem zmroku, przeciąga obolałe, całe sine od kontuzji ciało i poczyna czołgać się ku wzgórzu. Lada chwila spodziewa się okrzyku „kto idzie", albo salwy karabinowej. Ale nic nie mąci świętej nocnej ciszy.

Po godzinie dosięga italskich okopów. Nigdzie wartownika. W świetle księżyca lśnią tajemniczo zwoje drutów kolczastych. Poorana pociskami skała kruszy się pod

nogami. Tu i owdzie biegają po ziemi świetlne punkciki.,

Nagły strach chwyta go za włosy. Zapomina zupełnie, że nieprzyjaciel może być wpobliżu. W tej chwili pragnie widoku człowieka, lęka się samotności. Te biegające światełka napełniają go trwogą.

— Hej, jest tam kto? — woła z całej siły.

Odpowiada mu daleki szum morza. Z pod palców wymyka się zwinna salamandra, wywołując dreszcz obrzydzenia. Oczy stworzonka świecą w ciemnościach, jak dwa węgielki.

Kossowski zrywa się z ziemi i niebaczny na niebezpieczeństwo, biegnie wprost na szczyt wzgórza. Nigdzie żywej duszy.*)

Księżyc oświeca ruiny i zgliszcza latarni i domku dozorcy, Trzy zdemontowane działa tkwią bezwładnie w swych schronach. Nieco pustych puszek do konserw, torba żołnierska, złamany bagnet, popiół po ogniskach, ot i wszystko. Nie ulega wątpliwości, że Włosi odpłynęli.

W owej chwili świadomość ta bynajmniej nie jest mu miłą. Kto wie, kiedy

---

*) Widząc, że pozycja jest nie do utrzymania, Włosi zdecydowali się na opuszczenie wyspy.

którejś z stron wojujących przyjdzie do głowy znów odwiedzić Pelagozę. Wyspa może być *„no mans land'em"* do końca wojny. Kossowskiego los Robinzona Cruzoe nie nęci zbytnio, A przytem szczury i jaszczurki na pożywienie dla Połaka i Małopolanina, to cokolwiek za skąpo. Kadet siada na kamieniu i zapada w głęboką zadumę.

Wtem jakiś głos straszliwy mąci ciszę nocną. Ma w sobie coś z końskiego rżenia, śmiechu puszczyka, hukania sowy. Brzmi tak przenikliwie i donośnie, że aż mrozi krew w żyłach.

Wszystkie włosy stają Kossowskiemu na głowie. Przypominają mu się gadki starych górali o wiedźmach i duchach. Cóż innego chichotać tak może wśród nocy na bezludnej wyspie?

Do rana krzyk powtarza się jeszcze kilkakrotnie, przyprawiając kadeta o utratę tchu. Lada chwila, wydaje mu się, z ciemności wychynie jakiś straszliwy potwór.

Ale oto i świt. Cisza panuje znów wszechwładnie. Pustynne morze migoce tysiącami srebrnych łusek. Słońce cudne błyski zapala w przestworzu.

Kossowski znajduje starą studnię i wy-

lewa sobie na głowę parę wiader wody. Należy mu się to sumiennie. Od tylu przygód oszalałby sam Ryszard Lwie Serce, a cóż dopiero biedny „galileusz" z pod Jasła. Poranne słońce przywraca mu szczęśliwie resztę przytomności.

Myszkując po wyspie, odnajduje pieczary, o których słyszał z opowiadania. Nie śmie jednak zagłębić się pod ich sklepienie. W tej chwili smok wawelski przestaje być dlań gadką.

Szczęściem u wejścia do pieczary znajduje porzuconą przez pierwszy austrjacki garnizon skrzynkę z żywnością. Jest tam trochę zapleśniałych sucharów, kilka puszek konserw, litr rumu. Włosi nie tknęli tego, przyzwyczajeni snać do lepszej strawy. Ale dla kadeta jest to ratunek od głodowej śmierci.

Wieczorem rozpala ogień przy zgliszczach domku latarnika. I ze strachem w sercu zasypia. Ale wnet po północy budzi go znów straszliwy chichot. Jakiś potworny cień przemyka się wzdłuż ruin. Słychać wyraźnie tętent końskich kopyt po twardej opoce.

Kossowskiemu cierpnie skóra. Czyżby Pelagoza była dalmacką Łysą Górą, na szczycie której wiedźmy odprawiają pie-

kielny sabat? Nie śmie spojrzeć w ciemność, by nie zobaczyć jakiegoś potwora. Powoli jednak zalega cisza i znów wstaje różowy, słoneczny świt.

Nazajutrz ukazuje się nad wyspą austrjacki samolot. Krąży chwilę i, nie dostrzegłszy rozpaczliwych sygnałów Kossowskiego, zawraca ku brzegom Dalmacji.

Następne dwie noce mijają spokojnie. Ale trzeciej niesamowite rzeczy poczynają dziać się na wyspie. Dzikie chichoty, piekielne gonitwy, stękania, tętenty, rżenia. Kadet trzęsie się ze strachu u swego ogniska.

Potem zaczynają się długie dnie męczarni. Żywność się kończy. W dzień słońce dokucza nieznośnie, w nocy chłód kąsać poczyna. Wszystko drzewo, znajdujące się wpobliżu, spalone dawno. Po drwa trzeba chodzić daleko, aż na przeciwległy koniec wysepki. A Kossowski osłabiony głodem, nie ma już siły na forsowne marsze z bagażem.

Morze wciąż jest puste. Zaledwie od czasu do czasu na horyzoncie ukazują się smugi dymu płynących włoskich krążowników. Albo peryskop łodzi podwodnej rysuje na gładkiej powierzchni Adrjatyku

długą srebrną smugę. Żaden okręt nie zawija jednak wpobliże Pelagozy.

Kossowski traci rachubę czasu. Zegarek stanął mu dawno. Żywność skończyła się zupełnie. Na wędkę ze sznurka udaje mu się po mozolnych usiłowaniach schwytać kilka ryb. Smaży je w popiele. Myszkując po okopach znajduje jeszcze kilka sucharów, kawał stwardniałego na kamień chleba i trochę surowej kawy. Uczta.

Po kilku spokojnych nocach djabelskie harce zaczynają się na nowo. Szare cienie pomykają tu i owdzie, a towarzyszą im dzikie galopady. Gdyby nie ów piekielny chichot, Kossowski myślałby, że na wyspie jest stado koni. Na skalistej opoce nie znać jednak żadnych śladów, a uboga, tu i owdzie wymiętoszona trawka, zmywa rosą poranną tajemnicę nocy.

Źle, bardzo źle jest z kadetem. Głód i zmęczenie działają na wyobraźnię. Ta widzi już stada hippocentaurów i gryfów, igrające nocą po wyspie. To znów postać ludzka z oślą głową biega po skałach. — Matko Boska, zlituj się nade mną.

Aż wreszcie po pełnych trzech tygodniach, 8 września, z mgły porannej wyłaniają się kontury okrętów. Są dość blisko. Kossowski poznaje po sylwetkach

„Helgoland", „Saidę", „Likę" a nawet swój stary „51". Czy to aby nie miraż?

Nie, z pewnością. Bo oto okręty austrjackie ustawiają się w szyku bojowym i rozpoczynają ogień. Jeden za drugim szrapnele pękają nad wyspą. Granaty ryją w skałach głębokie leje, wzbijając słupy kurzu i kamieni. Widać tam nie wiedzą, że Pelagoza jest pusta.

Kossowski resztką sił czołga się ku piwnicy latarnika. Ma przed sobą dwie alternatywy. Zginąć od własnych pocisków, albo zostać znów zapomnianym rozbitkiem. Niepodobna wytrzymać w tym ogniu, niepodobna podać jakiegokolwiek sygnału.

Po godzinie strzelania Austrjacy szczęśliwie decydują się na desant. Patrol marynarzy znajduje w ruinach latarni nawpół żywego kadeta. Gdyby nie traf, że jednemu z majtków zachciało się tam zajrzeć, Kossowski nie ujrzałby już nigdy zielonych hal Podkarpacia.

Łyk rumu raz i drugi, tabliczka czekolady, i siły poczynają wracać. Dowodzący desantem porucznik zapytuje, czy na wyspie niema nikogo.

— Włochów niema, — odpowiada sła-

bym głosem Kossowski, — ale..... przeszukajcie groty.

Bosman Żółtek, chłop z pod Tarnowa, i czterech majtków, wyruszają na zwiady. Po godzinie zwolna nabierający sił (vide flaszka z rumem) kadet widzi, że powraca tylko trzech. Mimowoli robi mu się gorąco.

— A tamci dwaj? — pyta drżącym głosem bosmana.

— A ino, idą, panie kadet. Tylko, że im niesporo. Jeden ciągnie zwierzaka, a drugi musi bestyjom popychać.

W tej chwili znany dobrze Kossowskiemu chichot, połączony z kwikiem, rozlega się wpobliżu, Z za skały ukazuje się dwóch marynarzy, ciągnących, ile wlezie, pięknego, rosłego, acz nieco wychudzonego .....osła.

Nie tu jednak koniec utrapień naszego bohatera. O 11 rano flotylla odpływa. Kossowski, umieszczony w swej dawnej kabince na rufie „N. 51" zażywa dawno zasłużonego spoczynku. Historja z osłem trapi go niezgorzej. Zły jest na siebie. Ale ktoby mógł zgadnąć, że ta bestja — osioł

w dzień spokojnie skubać będzie trawkę i wygrzewać się na słońcu, a w nocy harcować po wyspie, budząc między skałami niesamowite echa. Widać dokuczały mu moskity.

Dzwon torpedowca właśnie wybił trzecią, kiedy potężne uderzenie wyrzuca kadeta z koi. To francuska łódź podwodna „Papin", dowodzona przez porucznika Cochin, przecięła odwrót austrjackiej flotylli, „Lika" uniknął torpedy szczęśliwie, ale „51" nie wymanewrował. Torpeda „Papina" trafia torpedowiec tuż pod mostkiem i rozdziera go na dwie części. Dziób tonie, rufa jednak, dzieki zamknięciu w porę wodoszczelnych przegród, utrzymuje sie na wodzie. Kossowski jest uratowany. Wprawdzie po głodówce zimna kąpiel to nie interes, ale dzięki Bogu i tak dobrze się skończyło *).

Dwa tygodnie szpitala w Sebenico i nominacja na porucznika stawiają Kossowskiego na nogi. W nowiuteńkim mundurze, który mu właśnie uszył krawiec garnizonowy Kohn (wszyscy krawcy garnizonowi w państwie Jego Cesarsko-Kró-

*) Szczątki „T. 51" wzięte na hol, szczęśliwie przybywają do portu.

lewskiej-Apostolskiej Mości nazywali się Kohn, — był to zapewne przywilej rodzinny), — młody podporucznik udał się wprost do Pola.

Potem został przeniesiony jako oficer materjałowy do Cattaro. Tam tkwił aż do chwili, kiedy trójbarwna bandera Serbji zastąpiła na gaflach okrętów banderę podwójnej Monarchji. Zaś gdy Polska powstała, jeden z pierwszych zameldował się do naszej młodej marynarki wojennej.

OPOWIADANIE BOSMANA FRANCIS'A

W bitwie pod Jutlandem 31 maja 1916 roku, wyleciał w powietrze w walce z flotą niemiecką olbrzymi angielski krążownik bojowy „Queen Mary". Z załogi, liczącej 1275 oficerów i marynarzy, uratowało się tylko 9 ludzi. Oto oryginalne opowiadanie jednego z nich, fascynujące swą tragiczną prostotą:

„O g. 3.30 wstałem, umyłem się i właśnie miałem zamiar udać się do swej baszty, by zmienić służbowego podoficera, kiedy rozległy się ostre dźwięki trąbki. Grano alarm bojowy, to też wszyscy pobiegliśmy na stanowiska. Przez otwartą klapę wchodową wtargnąłem do baszty „X", gdzie znalazłem obsługę już na miejscach. — Załoga baszty baczność, — zakomenderowałem, — funkcjami odlicz!

Od góry do dołu*) wszystko było w

*) Baszta ma kilka pięter i sięga prawie do dna okrętu, gdzie znajdują się komory amunicyjne.

porządku. Zaraportowałem o tem dowódcy baszty, porucznikowi Ewartowi. — Sprawdźcie przyrządy ładownicze, — odpowiedział, — tylko na Boga, nie ładujcie, jak warjaci.

Sprawdziliśmy skrupulatnie wszystkie mechanizmy i elewator amunicyjny, poczem zawiadomiliśmy centralę artyleryjską, że jesteśmy gotowi. W chwilę później otrzymaliśmy rozkaz ładowania i przygotowania prawego działa do strzału. Zaledwie rozkaz ten spełniliśmy, gruchnęła pierwsza salwa [1]).

Nie jestem pewny, która była wówczas godzina. Prawdopodobnie 3.45 lub 3.55. Zanadto byłem zajęty obsługą, by móc patrzeć na zegarek. A chociaż strzelaliśmy przy pomocy przyrządu, zwanego „fire - director" [2]) i zupełnie nie widzieliśmy celu, to jednak ludzie gorączkowali się i musiałem ich powstrzymywać. Mój

---

[1]) Odpalanie odbywa się elektrycznie z centrali lub obserwatorjum.

[2]) Przyrząd do kierowania ogniem wszystkich dział okrętu z jednego miejsca, obsługa dział jedynie ładuje i czuwa nad funkcjonowaniem mechanizmów. Obliczanie szybkości, odległości, celowanie, odpalanie i t d. odbywa się przy pomocy tego cudownego przyrządu, którym zasadniczo kieruje oficer artyleryjski okrętu.

Numer 3 otworzył nawet przedwcześnie zamek i spowodował zacięcie popychaczy. Udało mi się jednak uszkodzenie to naprawić. Gdyby nie to, musielibyśmy ładować ręcznie, co przy wadze pocisków, dochodzącej do 600 kg., do przyjemności nie należy.

Kiedy uregulowaliśmy ogień, mój Numer 3 pyta: — Bosmanie Francis, czy nie możecie zobaczyć, z kim się bijemy? — Byłem sam zaciekawiony, więc w przerwie między jednym a drugim strzałem spojrzałem w peryskop. Ale wnet opadłem na siodełko. Horyzont pełen był ognia i dymu, z pośród którego wyglądały kominy i maszty licznych okrętów. Wydawało mi się, że jest ich kilkaset. Nie chcąc deprymować obsługi, powiedziałem, że walczymy przeciwko kilku krążownikom bojowym. Ale moi dzielni chłopcy i takby się pewno nie zlękli. Pracowali zawzięcie, choć pot zlewał ich obficie.

Dotychczas nie zauważyłem żadnego podejrzanego hałasu, wkrótce jednak coś potężnie wstrząsnęło nami i tuman kurzawy wzbił się wewnątrz baszty. Zdawało mi się, że to pocisk musiał uderzyć w tylną baterję dział 102 mm. ale nic nie mogłem dojrzeć, bo peryskop został za-

tkany jakimś odłamkiem. Nie miało to żadnego znaczenia, bo strzelano dalej przy pomocy „fire - directora" i nie potrzebowaliśmy widzieć celu. Jednak ktoś niecierpliwy skoczył na dach baszty i oczyścił okular peryskopu. W tej samej chwili został zapewne naszpikowany kartaczami, bo słyszałem, jak jęknął i jak ciało jego spadło z dachu. Byłem ciekawy, kto był owym nieszczęśnym chłopcem, ale nie mogłem zgadnąć.

Nieco później poczuliśmy drugie uderzenie, ale nie dotyczyło ono bezpośrednio naszej baszty. Potem otrzymaliśmy wiadomość z centrali, że trzeci okręt przeciwnika ubył z linji. Donośne „hurra" rozległo się wokoło, ja zaś skoczyłem do peryskopu i rzeczywiście zauważyłem tonący okręt niemiecki. Jednocześnie poczułem, że baszta szybko się obraca. Zrozumiałem, iż przenosimy ogień z trzeciego na czwarty okręt przeciwnika. Ponieważ „fire - director" spełniał za nas wszelkie czynności prócz ładowania, nie mając nic do roboty, wyjrzałem ponownie. Okrętu niemieckiego już nie było widać. *)

*) W rzeczywistości krążownik niemiecki „Seydlitz" nie zatonął, ale został ciężko uszkodzony.

Podoficer-celowniczy Killick, zapytany przeze mnie odpowiedział, że lewe działo dało około 30 strzałów. Spojrzałem jeszcze raz i zobaczyłem, że czwarty okręt nieprzyjacielski płonął.

Wtedy nastąpiła wielka eksplozja, która szarpnęła basztą, ale nie uczyniła na nas większego wrażenia. Gdy kurz się rozwiał, dostrzegłem, że manometry hydrauliczne spadły na zero. Widać kanalizacja została przerwana..

W tejże chwili nastąpiło to, co nazywam wielkiem miażdżącem uderzeniem.*) Poprzedni wybuch był w porównaniu z nim igraszką. Znalazłem się u pułapu baszty, uczepiony na lince bezpieczeństwa. Ocaliło mnie to od upadku wdół między tryby i łańcuchy. Marynarze, którzy, jak ja, byli do owych linek uwiązani, wisieli obok cali i zdrowi. Natomiast kanonierzy Numer 2 i 3 lewego działa, snać nie uwiązani, spadli nadół, a wyrzucone z zawiasów łoże armatnie zgniotło ich na miazgę.

Na całym statku zapanowała iście kościelna cisza. Podłoga baszty wykrzy-

---

*) Na „Queen Mary" nastąpił na skutek celnej salwy niemieckiej — wybuch amunicji.

wiła się ku górze, działa powyskakiwały z łożysk. Mimo to ludzie byli zupełnie spokojni. Jeden z nich zapytał mnie, co się stało. — Baczność! — zakomenderowałem, — wszyscy na miejscach. Idę do pana Ewarta.

Z trudem dostałem się do kabiny komendanta baszty. — Co się stało, sir? — spytałem porucznika. — Pan Bóg to wie, odpowiedział. — Nie mam poco trzymać tu ludzi, — zaraportowałem, — czy nie lepiej posłać ich do baterji tylnej, by tam mogli dalej walczyć?—To dobra myśl, — odparł porucznik, — wyjrzyj, czy działa 102 mm. ocalały.

Wysadziłem głowę nazewnątrz i omal nie upadłem. Baterja rufowa była literalnie zmiażdżona, rozniesiona w kawałki, nie do poznania. Jednocześnie zauważyłem, że okręt kładzie się na lewą burtę. Zawiadomiłem o tem porucznika.

— Francis, — powiedział on, — trzeba im dać szansę ratunku. Każ opróżnić basztę.

— Opróżnić basztę! — krzyknąłem do wnętrza, i po chwili marynarze poczęli wychodzić. Ostatni ukazał się mat Stares z komory pośredniej. Spytałem go, czy podał rozkaz wdół do prochowni. Odpo-

wiedział, że nie było poco, bo woda sięgała już jego komory. Widać dno okrętu zostało wyrwane. — Dlaczego nie wyszedłeś wcześniej? — zapytałem. — Nie było rozkazu, — odrzekł poprostu.

Minąłem kabinę komendanta i wyszedłem nawierzch. Porucznik Ewart szedł za mną ostatni. Naraz zawrócił. Widać chciał sprawdzić, czy w baszcie kto nie został. Serce mnie boli, kiedy myślę o nim i o mych dzielnych towarzyszach...

Byłem wpół wysokości tylnej schodni, kiedy po raz ostatni zobaczyłem porucznika. Okręt był już tak nachylony,*) że ludzie ześlizgiwali się aż do burty, nie mogąc ustać na stromym pokładzie. Gdy opuściłem ostatni stopień, nie mogłem się za nic uczepić. Chwilę myślałem, że zlecę na lewą burtę i zostanę zgnieciony ciężarem przewracającego się okrętu, ale dwóch ludzi z mej obsługi przyszło mi z pomocą. Majtek Lane chwycił za nogi celowniczego Longa, który zkolei trzymał się połamanej balustrady. Po tej żywej drabinie wdrapałem się na prawa burtę i wraz znalazłem się na boku „Queen

*) „Queen Mary" leżał na boku nachylony o 60°.

Mary".*) Było tam sporo majtków którzy twierdzili, że czas jeszcze skakać, bo „stara Mary" tak rychło nie zatonie. Ale coś pchało mnie do wody. Jakiś głos wewnętrzny radził opuścić okręt. — Ej, zające, kto z was bierze udział w konkursie pływackim? — zapytałem. Tylko pięciu ruszyło za mną. Wdrapałem się na boczny kil i posłuszny owemu głosowi wewnętrznemu, skoczyłem do morza.

Płynąłem z całej siły, by oddalić się od wraku. Zaledwie jednak upłynąłem 50 metrów, rozległ się straszny trzask i w powietrzu poczęły fruwać kawały żelaza i różne odłamki, Było od nich aż czarno.

Zanurzyłem się w porę, by uniknąć uderzenia wielkim odłamem blachy. Gdy wypłynąłem, usłyszałem jakby szum wodospadu i zrozumiałem, że to fatalny lej tonącego statku. Zaledwie zdążyłem nabrać w płuca powietrza, kiedy wir wciągnął mnie w głębiny. Czułem, że wszelki opór na nic, to też byłem bezwładny, jak kłoda. Ale po chwili spróbowałem wypłynąć.

Daremnie. Wtedy pomyślałem: — Nie

---

*) Bok ten, miast pionowego, przyjął położenie poziome i zastępował zatopiony pokład.

masz czego walczyć, jesteś kaput. Jednak znów głos wewnętrzny odezwał się: — Wydostań się stąd.

Zacząłem płynąć, goniąc resztkami sił. Jakiś ciężki przedmiot uderzył mnie pod wodą. Poznałem hamak marynarski. Uczepiony doń, wypłynąłem na powierzchnię. Byłem napół żywy. Czując, że się nie utrzymam, rozejrzałem się wokół za ratunkiem. Tuż obok płynął wielki kawał drzewa z uwiązaną doń linką. Po kilku daremnych wysiłkach, podczas których omal nie zatonąłem, litościwa fala rzuciła mnie ku owej belce. Uchwyciłem się linki i uwiązałem ją sobie u ręki. Był najwyższy czas, bo zaraz potem zemdlałem.

Kiedy przyszedłem do siebie, poczułem ból nieznośny. Byłem cały rozbity a nadomiar złego pokryty gęstą skorupą oliwy i ropy.*) Oczy bolały mnie okrutnie, i mimo, że zerwałem rękaw koszuli, by nim sobie je przetrzeć, wkrótce zaniewidziałem zupełnie. Sól i nafta zmieszana z oliwą piekły mnie nieznośnie.

Nie wiem, jak długo byłem w wodzie. Zimno poczęło mi dokuczać, ale nie tra-

---

*) Nowoczesne okręty opalane są ropą. Podczas wybuchu wylała się ona z rezerwuarów i na znacznej przestrzeni zatruła morze.

ciłem nadziei, że mnie spostrzegą i wyratują. Udało mi się nieco przetrzeć oczy. Jak we mgle zobaczyłem kilka torpedowców.

Nadludzkim wysiłkiem wdrapałem się na mą belkę i zamachałem rękoma. Ale straciłem równowagę i spadłem do morza. Byłem już prawie martwy. Nie wiem jakim cudem udało mi się znów chwycić za belkę. Z torpedowca dostrzeżono mnie i rzucono ratunkową linkę. W chwilę później byłem już na pokładzie „Petarda".

Zpoczątku wzięto mnie za Niemca. Ja też nie byłem pewien, do kogo trafiłem. Ale uradowałem się, dowiedziawszy się, że to „Petard". Wnet też zemdlałem i ocknąłem się dopiero na jakiejś kanapie, usłyszawszy zdanie: — Nie rzucaj się, kolego.

Byłem pewny, że oślepłem. Oczy bolały coraz więcej i nie byłem w stanie niczego odróżnić. Nie przywiązywałem jednak do tego żadnego znaczenia. Żal mi było tylko mego pięknego okrętu i nieszczęsnych towarzyszy.

Dano mi wódki i ułożono wygodnie. Zasnąłem, ale przebudziłem się po chwili.

---

*) „Petard" — angielski kontrtorpedowiec.

Ktoś mówił do mnie, abym się nie lękał strzałów armatnich, bo będziemy atakowali wielki okręt niemiecki. Było mi już wszystko jedno.

Ponieważ skarżyłem się na nieznośny ból w oczach, zawołano doktora, który począł mi je przemywać. Naraz coś potężnie wstrząsnęło nami i powiało duszącym zapachem prochu. Sam nic nie widziałem, ale potem opowiedziano mi, że to pocisk niemiecki przebił statek nawylot, zabijając owego lekarza i ośmiu ludzi. Ja nawet nie zostałem draśnięty.

Potem zasnąłem, przeniesiony do pomieszczeń podoficerskich. A nazajutrz byłem już w szpitalu w Queensferry. Czułem się dość dobrze, tylko oczy bolały wciąż nieznośnie...

Przypuszczam, że strata „Queen Mary"*) była spowodowana przez wybuch pocisku niemieckiego w komorze pośred-

---

*) „Queen Mary" był to nowoczesny krążownik bojowy wyporności 28.000 ton, uzbrojony w 8 dział 434 mm. — rozmieszczonych w czterech basztach pancernych. Dziobowe oznaczone były literami „A" — „B", — rufowe lit. „X" — „Y". W baszcie „X" znajdował się właśnie bosman Francis. Ponadto istniała artylerja średnia, złożona z 16 dział 102 mm., kilka dział małego kalibru i 4 rury torpedowe; siła maszyn wynosiła około

niej baszty „B". Pocisk ten zapalił nagromadzoną w baszcie amunicję, a potem ogień przeniósł się do komór prochowych i... było już po wszystkiem.

100.000 HP., a szybkość 28 węzłów (52 km. na godz.). Jakkolwiek wydaje się to nieprawdopodobnem, od chwili pierwszego wybuchu, do chwili zupełnego pogrążenia się okrętu minęło zaledwie 5 minut.

Z DNI HAŃBY I GROZY.

Dzień 13 września wstał, owego znamiennego dla Rosji roku 1917, szary i ponury. Słabe jesienne słońce długo siliło się przebić swemi promieniami ciężki tuman mgły, otulający Helsingfors i okolicę. Wreszcie około dziewiątej słońce zwyciężyło, mgła pierzchła i bezbarwna dotychczas tafla wodna nabrała szarobłękitnego koloru.

Mgła, cofając się, odsłoniła drzemiące na rejdzie wojenne okręty. Flota Bałtycka kosztem wielkiego nakładu pracy i kapitału stworzona, przez Piotra Wielkiego zapoczątkowana, pod Cuszymą pobita, a jednak znów odrodzona, tym razem kończy tu swą egzystencję. Od kilku miesięcy niema już flotyll, eskadr, dywizjonów. Niema dowódców, sztabów, operacyj wojennych. Są tylko komitety okrętowe, sowiety majtków i żołnierzy, gdzie demagogiczny frazes rządzi pospołu ze swa-

wolą, rozpustą i okrucieństwem. Nic to, że Niemiec w samo serce Matki-Rosji godzi. Nic to, że rabuje i uciska. Pokój musi być za wszelką cenę. A wrogami są nie Niemcy, tylko ci z pośród Rosjan, co honor żołnierski cenią wyżej niż swawolę i prywatę. Na pohybel im okajannym!

Na pancerniku „Petropawłowsk" wrzenie. Ni stąd ni zowąd majtkowie zażądali poprzedniego dnia od steroryzowanych oficerów podpisania jeszcze jednej deklaracji. Deklaracyj takich podpisywali oficerowie już dziesiątki. Nie uchroniło ich to przed kazamatą więzienną, bagnetem oprawcy, czy kulą bolszewika. To też większość upadła na duchu. Owładnęła ich typowa rosyjska apatja. Niech będzie, co chce.

Gdyby bunt marynarzy zdarzył się, powiedzmy, w którejś z flot zachodnio-europejskich i przybrał tak krwiożerczy i destruktywny charakter, jak to miało miejsce w Rosji, zapewne oficerowie zginęliby co do jednego, z bronią w ręku stojąc przy Ojczyźnie, walcząc o swój honor i powierzone im państwowe dobro. W Rosji jednak tak nie było. Słowiański mistycyzm, apatja, brak trzeźwych przekonań, wreszcie owa znamienna w państwie ca-

rów „fourberie", — zabytek niewolniczy, — sprawiły, że oficerowie potracili głowy.

Jednym, otumanionym frazesami, śniło się państwo z bajki, gdzie wszystkim będzie dobrze. Drugich własne krzywdy, czy osobiste ambicje, skierowały na fałszywą drogę. Trzeci, by ocalić życie swoje, czy swych bliskich, przyjmowali upadlające stanowiska, całowali ręce katów, błagali ich o łaskę, — co w rezultacie bynajmniej od śmierci nie uchraniało; wprost przeciwnie, oprawcy mieli dla nich głęboką pogardę. Wreszcie byli i tacy co nie bali się spojrzeć śmierci w oczy, ale ci, miast się bronić i walczyć, jeno ginąć odważnie umieli. To też z krwi ich żaden mściciel dotychczas nie powstał.

W gronie samych oficerów panoszyły się koterje i frakcje. Duch Wielkiej Rewolucji pokutuje tu i owdzie. Demagogja bierze górę nad poczuciem obowiązku. Krwawe widmo Filipa Egalité zda się błądzi po kursywach pancerników, śmiejąc się zjadliwie.

To też owego fatalnego trzynastego września, miast postąpić solidarnie i po żołniersku, oficerowie poczynają debatować nad nowem ultimatum załogi. Żąda ono jednomyślnego podpisania deklaracji,

że oficerowie „Petropawłowska" nie solidaryzują się i nie biorą udziału w ruchu patrjotycznym, wszczętym przez generała Korniłowa, i że przysięgają na wierność nowemu rządowi.

Ruch Korniłowa był już w owym czasie stłumiony, a deklaracja posłuszeństwa rządowi prowizorycznemu oddawna podpisana. Oczywistem było, że chodzi tu o szykanę i prowokację. Rozmityngowana załoga powzięła poza tem uchwałę, żądającą kary śmierci dla Korniłowa i jego zwolenników, przyczem cała władza w Rosji miała przejść w ręce Sowietów.

Obrady oficerskie trwają do samego obiadu. Wreszcie bagnety majtków ukazują się we drzwiach, by przyśpieszyć decyzję. Wtedy oficerowie „Petropawłowska" podpisują deklarację, potępiającą „bratobójczą" działalność generała Korniłowa, oraz przyrzekającą posłuszeństwo rządowi „działającemu w porozumieniu z Sowietami".

Ten demagogiczny wykręt nie zadowala nikogo. Po długich naradach, podczas których załoga wywołuje oficerów na pokład, ci ostatni wobec otaczającego tłumu decydują się dodać do deklaracji słowa: „i rozkazom wydawanym przez

Komitet Centralny zgodnie z delegatami miejscowych organizacyj".

Jedynie porucznicy Kandyba i Kondratiew ,oraz świeżo przybyły z urlopu nadporucznik Tizienko odmawiają podpisania czegokolwiek pod presją tłumu. Oficerowie ci składają własną deklarację tej treści:

„Obiecujemy słuchać bez zastrzeżeń głównodowodzącego, naznaczonego przez rząd konstytuanty, i działającego w porozumieniu z instytucjami demokratycznemi przeciwko wrogowi zewnętrznemu.

Nie chcąc przelewać krwi bratniej, nie chcemy brać udziału w wewnętrznej walce politycznej.

Protestujemy przeciw oskarżaniu nas o ideje kontrrewolucyjne i aby stwierdzić nasze przywiązanie do ojczyzny, prosimy o wysłanie nas na front morski pod Zerel, gdzie chcemy walczyć z wrogiem".

W ostatniej chwili deklarację tę podpisuje także porucznik Michajłow.

Delegaci załogi z majtkiem Diuczkowem na czele przyjmują ją spokojnie, ale już w chwilę później otwarty bunt wybucha w czwartej kompanji. Marynarze żądają sądu nad „zdrajcami rewolucji".

Komandor Tyrtow, dowódca „Petropa-

włowska", usiłuje interweniować. Diuczkow oświadcza mu, że inkryminowani oficerowie powinni sami porozumieć się ze swemi kompanjami. Miczman Kondratiew udaje się do pomieszczeń marynarskich, wraca jednak po chwili i melduje dowódcy, że do porozumienia (o ironjo!) z kompanją swą nie doszedł. Koledzy jego nie próbują już tej śliskiej drogi.

Wówczas Diuczkow oświadcza komandorowi, że obawia się, aby załoga nie zlynczowała owych czterech oficerów. Proponuje tedy aresztowanie ich i odesłanie na ląd, pod sąd i dozór Rewolucyjnego Komitetu. Tymczasem marynarze zamykają nieszczęśników w kabinie miczmana Kandyby, gdzie poddają ich surowemu i prowokacyjnemu badaniu. Pytania w rodzaju: — „czy usłuchaliście rozkazu głównodowodzącego, gdyby przeszedł na stronę Korniłowa?" — „czy walczylibyście z Korniłowem, gdyby zajął Petersburg?" — padają jedne za drugiemi. Trzej oficerowie odpowiadają na nie negatywnie, czwarty — Kondratiew twierdzi, że pytania nie mają sensu, gdyż jako podwładny spełniałby tylko rozkazy odpowiedzialnego zwierzchnika.

Kiedy podpisano protokół, uwięzieni

żądają zobaczenia się z kolegami. Odpowiadają im wymijająco. Diuczkow zwołuje meeting marynarzy i odczytuje im protokół śledztwa. — Zdrajcy rewolucji na śmierć! na śmierć! — rozlegają się okrzyki.

Morze głów, morze dzikich, rozbestwionych twarzy, faluje wokół wieżycy, na której zasiada okrętowy komitet. Tamto — prawdziwe morze u stóp pancernika, jest dziś spokojne i ciche. Jakby chciało pokazać ludziom, że, chociaż żywioł, jest od nich łagodniejsze i sprawiedliwsze.

Nadaremnie. Diuczkow wstaje i chrypliwym głosem pyta: — Odesłać na ląd, czy stracić natychmiast?

— Natychmiast! natychmiast! — ryczy tysiąc pijanych gardzieli. Nieliczne głosy protestu milkną trwożnie. W powietrzu pachnie krwią.

Dwaj przedstawiciele Centrobałtu chcą ratować oficerów. Proponują przeprowadzenie na ląd i sąd regularny. Komitet okrętowy odpowiada, że przychyla się do tej prośby i wieczorem aresztowanych odeśle. Gwarantuje nawet za ich życie. Obecnie jednak, nie chcąc drażnić marynarzy, uczynić tego nie może.

Oficerowie czują, co się świeci. Żądają powtórnie zobaczenia się z kolegami.

Mówią, że chcą się pożegnać. — O, odnajdziecie się jeszcze wszyscy, — odpowiada im szyderczo jeden z członków komitetu.

Pozwalają im jednak zmienić bieliznę i wziąć kilka drobnostek ze swych kabin. Po kursywach pancernika snują się tłumy majtków, pijane, wietrzące krew, groźne. Około ósmej wieczór na środkowym pokładzie odbywa się nowy meeting. Daremnie kilku trzeźwiejszych usiłuje nakłonić majtków do rozsądku. Krzyki i przekleństwa zmuszają ich do milczenia.

Godzina 8.45. Do boku „Petropawłowska" przybija szalupa, 16 uzbrojonych majtków zajmuje w niej miejsce. Aresztowani oficerowie schodzą również pod strażą elektrotechników Klimentiewa i Mamonowa, kanoniera Kokina i strzelca Gilewa. Tłum majtków przechyla się za burtę i miota za odpływającą szalupą przekleństwa i wyzwiska. Pozostali oficerowie nie śmieją nawet pożegnać swych kolegów.

Aresztowani wiedzą, że mają być oddani w ręce Centobałtu, który urzęduje na esplanadzie nawprost Maryjskiego pałacu. Tymczasem szalupa zbacza ku odległemu od miasta Elizaweteńskiemu bulwarowi Na pytanie, czemu tak się dzieje,

majtkowie odpowiadają cynicznym śmiechem i... pokazują na gardło. Ostatnie wątpliwości i nadzieje oficerów pryskają, jak bańki mydlane.

Jeden Kondratiew postanawia walczyć. Odepchnąwszy siedzącego obok marynarza, skacze do wody. Płynie raźno, wołając pomocy. Liczy snać, że go dostrzegą z okrętów cudzoziemskich, stojących w porcie. Ale widząc uzbrojoną szalupę, nikt nie śmie przyjść mu na ratunek. Wkrótce siły opuszczają młodego miczmana i szalupa go dogania. Jeden z majtków uderzeniem wiosła łamie mu ramię, poczem półprzytomnego wciągają do łodzi, gdzie kolby i pięście natychmiast puszczone są w ruch. Nieszczęsny Kondratiew wygląda po chwili, jak jedna krwawa masa.

Ale oto szalupa przybija do pustego, zrzadka tylko lampami elektrycznemi oświetlonego bulwaru. Oficerów ustawiają plecami do morza. Kondratiewa, który nie może ustać, podtrzymuje Kandyba. Marynarze odchodzą o kilka kroków i ustawiają się w dwuszereg. Skazańcy milcząc podają sobie ręce.

Krótki błysk i suchy, urwany trzask.

Kandyba i Kondratiew padają na ziemię. Ale czerwone katy snać źle strzelają, bo Tizienko i Michajłow, aczkolwiek cali krwią pokryci, stoją jeszcze.—Co robicie, podlecy? — woła pierwszy. A drugi dodaje: — Zabijcież mnie wreszcie, łajdaki!

Wówczas pijani krwią majtkowie rzucają się na nich z rewolwerami i bagnetami. Następuje dzika masakra. Tizienko, mimo ran zadanych, żyje jeszcze i prosi marynarzy, by go dobili. Ci pastwią się nad nim długo, waląc kolbami, kopiąc butami w twarz, kłując i bijąc. Biedny porucznik ma strzaskaną szczękę, złamany nos i szesnaście pchnięć bagnetem. Pozostali skazańcy mają wszyscy, poza ranami od kul, powybijane zęby, rozłupane czaszki, wybite oczy. Wreszcie potwory w ludzkiem ciele, widząc, że ofiary ich wydały ostatnie tchnienie, obdzierają je z odzienia i półnagie ciągną po błocie do oczekującego samochodu, który zmasakrowane zwłoki odwozi do kostnicy.

——o——

Zamordowani oficerowie byli absolutnie niewinni. Jedynym ich występkiem był lojalny patrjotyzm, połączony z poczu-

ciem honoru. Padli ofiarą „gniewu ludu". A przecież najstarszy z nich miał niespełna lat dwadzieścia, a najmłodszy zaledwie osiemnaście. „Gniew ludu" zaprawdę mógł sobie obrać inne ofiary.

MUZEUM MORSKIE W GDAŃSKU

Początek patrz str. 2-a okładki.

61. „Tajniki szpiegostwa angielskiego" *Robert Boucar.*
•52. „Wielkie łowy" *Ejsmond.*
53. „Caryca Praskowja" *Kazimierz Bartoszewicz.*
54. „Bajazet Błyskawica" *Jerzy Bandrowski.*
55. „Zdrajca w rodzinie Habsburgów" *Adam Nowicki*
56. „Biała Czarodziejka" *Aurelja Wyleżyńska.*
57. „Eleonora Duse" *Hanna Skarbek.*
•58. „Wśród kosmatych ludzi" *Wacław Sieroszewski.*
•59—60. „Raidy łodzi podwodnych" *St Str. Wojtkiewicz*
61 „Fakir z Namanganu" *Junosza Gzowski.*
•62 „Dynamitem ku bogactwu i sławie" *Hulka-Laskowski*
63. „Miłość Wielkiego Księcia" *Breszko-Breszkowski.*
•64. „Ossowiecki — polski jasnowidz" *Zofja Tuwanowa.*
65. „Kat Sanson i jego epoka" *K. Sierp.*
66. „Mohammed II" *J. Bandrowski.*
67. „Listy anonimowe" *Z. Dromlewiczowa.*
68. „Arlekini i Kolombiny" *Dr. Tluchowski.*
•69. „Tajniki szpiegostwa niemieckiego" *Dr. Zajączkowski*
70. „Zabójstwo gen. Margrafskiego" *Krzesławski.*
71 „Valentino" *S. Heymanowa.*
72. „Car kirgiski Abda Chan" *A. Gzowski.*
73. „Różowy brylant" *Keszko.*
74. „Zabójstwo pułk. Sudiejkina".
75. „Grün—kat Warszawy" *Wroczyński.*
76. „Tajniki szpiegostwa austryjackiego" *M. T.*
•77. „Wyprawa Livingstona" *Dr. Majewski.*
•78. „Wojna Konopki z Toruniem" *J. Grabowski.*
•79. „Asasów, por. Fonc" *St. Str. Wojtkiewicz.*
80. „Grün—ochrannik" *J. Sokolicz-Wroczyński.*
•81. „Czciciele Sego Kaktusa" *Dr. J M. Majewski.*
•82. „Tajniki szpiegostwa francuskiego" *Dr. J. P. Zajączkowski*
83. „Radziwiłłowe" *Kazimierz Bartoszewicz.*
•84 „Tajniki szpiegostwa czeskiego" *Mergiel.*
•85. „Lindbergh" *St. Strumph-Wojtkiewicz.*
86. „Trująca Syrena Andaluzji" *H. Skarbek.*
87. „Szpiegostwo niemieckie w Polsce" *Br. Tkaczyk.*
88. „Za kulisami caratu" *Dr. J. P. Zajączkowski.*
89. „Spadek, którego nie było" *Z. Dromlewiczowa.*
•90. „Zdrada ppłk. Grimma" *Gen. Wejtko.*
•91. „Orzeł morski" *St. Strumph-Wojtkiewicz.*
92. „Księżna i porucznik" *Jan Feldman.*
93. „Jak zabiliśmy Plehwego" *Borys Sawinkow.*
94. „Truciciele i trucicielki" *W. Melcer-Rutkowska*
95. „Niebieskie ptaki XIX w." *Meb.*
96. „Dwie hjeny" *Wł. Mergiel.*
97. „Ostatnia Wojewodzina Wileńska" *K. Bartoszewicz.*
98. „Jak zabiliśmy W. Ks. Sergjusza" *Sawinkow.*
99. „Spowiedź szpiega pruskiego" *Dr. Vitelius.*
•100—101 „W odmęcie prowokacji" *prof. I Iwaszkiewicz*
102. „Najsłynniejsze raidy lotnicze" *R. Krechowicz.*
103. „Cesarz w niewoli" *J. Feldman.*
104. „Pierwsze miłości wielkich ludzi" *Meb.*
105. „Łódź podwodna" *Komandor-por. Sadowski.*
106. „Zamach gen. Malet" *Dr. J. M. Majewski.*

Dalszy ciąg patrz str. 4-a okładki.

BIBLIOTEKA
Muzeum
Morskiego
w Gdańsku
001871

107. „Zakork
108. „Na po
109 „Rockef
110. „Azef"
111. „Księżna
112. „Francja
113. „Kulisy
114. „Amund
115—116. „Te
117. „Żywa t
118. „Szpiegostwo bolszewickie" *Wł. Mergel.*
119. „Ojciec Hapon" *Brezki.*

„Żółte książeczki", stanowiące w każdym tomiku oddzielną całość (spis tytułów na wewnętrznych okładkach) są łączone w cykle:

„SŁYNNI KOCHANKOWIE" Nr. Nr. 2, 11, 14, 104, 111
„ROSJA NA RUBIEŻY" Nr.: 3, 32 45, 63, 74, 80, 88, 90, 93, 98, 119.
„WŁADCY" Nr Nr. 4, 20, 23, 53, 103
„PIORUNY I BŁYSKAWICE WSCHODU" Nr Nr. 5, 37, 54, 66
„JAK UMIERALI WIELCY LUDZIE" Nr Nr 6, 9, 30
„CYKL OBYCZAJOWY" Nr. Nr. 7, 10, 65, 68, 81, 94
„WIELKIE PROCESY" Nr. Nr 1, 8, 24, 25, 31, 40, 67, 8
„EKRAN I SCENA" Nr. Nr. 13, 47, 57, 71, 86
„ZMIERZCH HABSBURGÓW" Nr. Nr. 15, 34, 49 55, 92
„CYKL MORSKI" Nr. Nr. 17, 33, 46, 59—60, 91, 105, 107, 112, 117.
„POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA" Nr. Nr. 18, 22, 39, 42, 44—45, 48, 58, 61, 72, 108.
„ZDOBYWCY I ODKRYWCY ŚWIATA" Nr. Nr. 19, 28, 41, 77, 114.
„CYKL MYŚLIWSKI" Nr. Nr. 26, 52
„CYKL SZPIEGOWSKI" Nr. 27, 38, 51, 69, 76, 82, 84, 87, 96, 99, 110, 118.
„CYKL KRYMINALNY" Nr Nr. 50, 73, 75, 95, 113.
„CYKL LOTNICZY" 79, 85, 102.
„WOLA I PRACA" Nr. Nr. 62, 109.
„POLSKI CYKL OBYCZAJOWY" Nr. Nr. 21, 29, 56, 78, 83, 97
„ŚWIAT DZIWÓW" 12, 16, 64, 81, 115—116.
„WALKI O NIEPODLEGŁOŚĆ" Nr. Nr. 35—36, 70, 100—101.
„SPISKI I ZAMACHY" Nr. 106

T-wo Wyd. „Rój" sp. z o. o. Warszawa, Kredytowa 1

Konto P. K. O. 9880.

PROSPEKTY NA ŻĄDANIE GRATIS.